

O świcie 20 czerwca 1944 roku tamowanie do drzwi obudziło mnie i mój rodzinę. Zrozumielismy NKWD. Wywózka. Zabrano nas wszystkich w jednym pociągu, ustawiono pod ścianą. Po przeciwniejszej stronie zawieszono twarz do ściany kryjącą rzec w górę, kłówał mój ojciec. Oficer NKWD odezwał wyrok, na mocy którego ustaliliśmy skazani na, nieznane posiedzenie w wstecznej obszar. Dano nam 20 minut na spakowanie się. Wywózka zawieszono nas do tap, gdzie na placu przed dworcem było już wiele rodzin. Cały dzień wozono z okolicy wozów nowych ludzi. Pod wieczór podstawiono parę stozów z bydłymi wagonami - skwałowymi skienkami. Znaleźliśmy się w wagonie - łaznie 57 osób ciasno, gorąco. Wystroszeni przytuleni do siebie, zmęczeniu zasnęliśmy. Leci na otługo. O północy odryglowano drzwi i mój głos: "Perowski Kazimierz - wychodzi bandyta, jesteś aresztowany, przedej!" Cichy głos ojca "zostanie z Bogiem". Nawet nie płakaliśmy, byliśmy przerażeni. Zaraz potem pociąg ruszył. W Wólkowysku staliśmy otługo. Tam dowiedzieliśmy, że jest wojna. Dalsza droga była straszna. Razem z nami na wschód szła wojna. Ciągłe ostrzeliwanie, bombardowanie, o to tego brak wody. Woda w małych ilościach (4 miastka dziennie na cały wagon) tylko nieśmy surowy strygnąłismy. Dzielnie dni nie mieliśmy

2

w ustach nie gotowanego. Zmyliśmy się tym, co zabraliśmy z domu. Niemowlęta, chore, starzy - umierali. Ciężka woda zostawiano przytore. W naszym wagonie również umarła staruszka. Niemowlęta, których było pięć, przesyła dzięki temu, że jedna z matek miała maszynkę sprężynową i denaturat. Nawet mój osmiolatek brat dostawał niekiedy półszklanki wózeku. Tak dojechaliśmy do Orszy. Tam na stacji zatrzymał się pierwszy i pierwszy raz od odzyskania dnia zatrzymaliśmy się po kubku gotowanej wody. Do dziś wciąż wspominamy smak tej gorącej wody z odrobinką cukru. Dalej jechaliśmy już bez przeszkód. Topy już były nie uszkodzone, nie było bombardowań. Czasami dostawaliśmy nawet supę i dwa razy chleb. 10 lipca dojechaliśmy do Tiumienia. Tam podzielono nas na grupy jednych samochodami przewieziono na południe, innych furmankami do pobliskich kotełnic.

Ja z rodziną i mamą znalazłam się na karcie wodnej. Szesć dni płynaliśmy.

Tobolsk nad Jetyzem okazał się naszym miejscem przeznaczenia. Zawieziono nas do cegielni tuż za miasto, na skraj tajgi. Tam mieliśmy pracować. Kwaterę dostaliśmy w miesie - pokój maleńki. Praca w cegielni była ciężka, ponieważ była to praca oparta na mięśniach ludzkich, a właściwie dziewczęcych, bo mężczyźni skierowano do innej. Nawet mierzenie gliny spadało na mięśnie naszych nóg, bo kół, który przewoził kierat-palett. Zimą pracowaliśmy przy wyrobie tajgi. Codziennie

pięć kilometrów w jedną stronę i z powrotem pieszo zapo-
 słaję się po pas w śniegu i cały dzień śnieżanie świerków,
 obcinanie gałęzi, pilnowanie na polana, układanie w otuliki".
 Byliśmy też zatrudniani przy wyciąganiu drewna z rzeki
 spławianego Jotysem z północy. To była bardzo ciężka
 praca. Za pracę otrzymywaliśmy po 50 rubli miesięcznie.
 To starczyło zaledwie na wykupienie kartkowego „pakka”,
 tj. przydzielonej porcji chleba. Naszym pożywieniem
 codziennym była żytnia kasza - ziarno rozarte w żarnach.
 Mówiliśmy: na śniadanie kasza żytnia a na obiad kasza
 rziana, na kolację taka sama. Tak było przez pierwszy
 rok. Później, kiedy bliżej poznaliśmy miejscową ludność,
 wśród której byli też Polacy - potemkowie zesłańców
 z 1864 roku, było już nieco lepiej. Robiliśmy nocami
 z siostrą swetrą, chustki, mrama trochę szycia i za to
 dostawaliśmy niewielkie ilości cennej żywności - mąki
 ziemnej żytniej i siemniaków. W miarę możliwości poma-
 galiśmy też innym. Zamieszkaliśmy w drugim domu
 wraz z zaprzyjzianą z nami rodziną Kruzewskich.

W Tobolskim więzieniu siedzieli około trzech tysięcy
 Polaków. Zwolnieni ich w 1942 roku po podpisaniu przez
 władze radzieckie porozumienia z rządem londyńskim.
 Niektórzy nie byli zdolni do pracy, ludzie starzy, schoro-
 wani, wycieńczeni więzieniem. Pamiętam dwóch
 starszych panów - profesor rysunku z Akademii Sztuk
Pięknych z Krakowa - pan Władysław - aresztowany
 w Krakowie, pan Stanisław z Wilna, również profesor.
 Przychodzili do nas na talerz zupy. Niestety obydwaj
 umarli z wycieńczenia.

Wśród zwolnionych więźniów było dwóch księży, którzy zamieszkałi u nas. My wraz z zaprzyjaciłymi rodziną mieszkaliśmy sami i nasz dom nazywano polskim. Zdecydowano zatem, że to najlepsze miejsce dla księży. Ksiądz Paweł Sargiewicz pochodził z Białostoczczyzny a ksiądz Zygmunt Jagielnicki - ze Lwowa. Rano w naszym pokoju, największym, odprawiali mszę św, a później szli do pracy. Pamiętam radość księdza Pawła, kiedy za wyprzedzeniem ustępu w piekarni otrzymał bochenek chleba dwa kilogramy. Potem dał mojej mamie ciężyć się, że przynajmniej w ten sposób może wynagrodzić codzienny talerz żytniej kaszy na wodzie.

Do Tobolka w 1942 roku zjeżdżało wielu Polaków z dalekiej północy, z tajgi. Wraz z byłymi więźniami było nas ponad pięć tysięcy. Z ramienia rządu w Lewodyni został powołany petrowoocnik, którym był Wacław Wawelberg - bankier z Warszawy, powstał "dom polski" - biuro polskie. Powstała szkoła polska. Po zerwaniu stosunków przez rząd Stalina z naszym rządem lewodyjskim - Wawelberg został aresztowany. Szkołę przemianowano na Niepełną Średnią Szkołę nr 5 ale językiem wykładowym był język polski, chociaż w ósmej klasie, do której ja również uczęszczałam było czterech godzin tygodniowo języka polskiego a osiem rosyjskiego. Dyrektorką była również Rosjanka. Mielisimy wspólny chór szkolny, który prowadził były kierownik polskiej szkoły - pan Władysław Gmur. Przedstawicielem naszym powołany został pan Jacyna - ojciec mojej szkolnej koleżanki.

Zmniejszała się liczba Polaków w Tobolsku. Wielu mężczyzn wyjechało do armii Andersa. Również księża.

Później - w 1943 roku w maju - półtora tysiąca młodych chłopców i mężczyzn zostało powołanych do Wojska Polskiego i wyjechało do Siedlc. Zostały kobiety, dzieci.

We wrześniu 1944 roku i my odplynęliśmy statkiem z Tobolska. Dziesięć dni plynęliśmy Jekaterynem do stacji kolejowej. Tam dwa tygodnie czekaliśmy pod gołym niebem w zimnie, deszczu na pociąg. Półtora

tysiąca kobiet, starców i dzieci. W połowie października dojechaliśmy do Kirowa na Ukrainie, skąd furmankami przewieziono nas do kółchozów, sowchozów. My trafiliśmy do sowchozu Kirowka - 12 km odległego od Kirowa.

Tam byliśmy zatrudnieni przy pracach polowych - wykopkach, młocce, przebieraniu ziemiaków, piekaniu.

Koniec wojny pamiętam, pracowałam wraz z innymi przy ładowaniu ziemiaków do wagonów. Jeżdżał pociąg z wojskiem i jeden żołnierz krzyknął "bragajcie

rabotu, wojna konierysta". Kapitan, który nadzorował naszą pracę, postawił mi do sowchozu obwieścić się, czy to prawda.

W sowchozie dawno mi ciężarówkę, żeby szybko wozycy przybyli na wiec. Dyrektor sowchozu wygłosił przemówienie, w którym głosił chwale radzieckiego

cego i abiautów, ale nie mi wspominał o walercy i wśródzie Polakach.

Wobec nas jedyna z Polki weszła na trybunę i opowiedziała po rosyjsku o polskim wojsku walercy na zachodzie i tu na wschodzie, walercy w kraju z okupantem, walercy nieprzerwanie od

(walercy na zachodzie i tu na wschodzie, walercy w kraju z okupantem, walercy nieprzerwanie od

1939 roku. Zerwała się burza oklasków. Dwie przewodni-
się w polską manifestację. całą noc, do białego rana
przy ognisku śpiewaliśmy polskie pieśni.

... w lipcu, a dokładnie 22 lipca wróciliśmy do Polski.
Wielka radość. Ojciec był w domu. Okazało się, że
był przewieziony do białostockiego więzienia, którego
Rosjanie nie zdążyli ewakuować; przed wkroczeniem
Niemców białostoczanie otworzyli więzienną bramę.
Pierw wrócił do domu.

Tak skończyła się moja i mojej rodziny tatarska, ale
nie bieda. Długo jeszcze eien Stalinizm padł na
moją rodzinę. Jeżere raz ojciec znalazł się w więzieniu,
jeden z braci również. Z bratami bratku dowiedziawszy
wypuszczono ich. Później dla braci nie było normalnej
służby wojskowej. Jeden służył w batalionie ludowolonty,
drugi w kopalni węgla odbywał służbę.
Pamięć przeyé pozostanie na zawsze

Nad. Skarżyńska Kazimiera
ul. Manifestu lipcowego 2/3
18-200 Wysokie Mazowieckie
nr. tel. 26-35

Kazimiera Skarżyńska
Wysokie Mazowieckie
17.03.1989r.

Matczym owa zdjęcia, które znalazłam, ale bardzo
proszę o ich zwrot. Na jedynym pani Skarżyńska Greca
z cichejki-mieszkańka śląp, na drugim nasz szkolny
chór i kierownik chóru - pan Władysław Ejmont. ojciec
aktor scen warszawskich. Bohdana Ejmonta mojego
klasowego kolegi. Na moją głowę na zdjęciu strzałka.
Podpisane są: Jadzia Jacyna, Jadzia Szopf, Halina Kroszewska,
Hania Annawier i Grezia Skurjat,





396
Wschodniej p. Booskiej
i drucialnem
wspólnych przesł
na Syberii
kamuflaż z laty

Tobolsk 26. V. - 1943 r.

Fot. II / 390 / 1

II / 390 / 1